

Zycie

pełne dramatów

Tekst: ANNA JABŁOŃSKA

Wprowadza na scenę drażliwe współczesne tematy. Przeciera szlak dla nowej dramaturgii. Dyrektor artystyczny Teatru Współczesnego w Szczecinie, laureatka prestiżowych nagród za reżyserię i Paszportu „Polityki”. Pełna temperamentu na próbach, w domu czuła i wyciszona. Ma dwie dorosłe córki i dwuletniego Jasia. Ubiera się w czerń, lubi tańczyć rock and rolla, chce rzucić palenie. Bardziej niż swoją twórczość ceni pracę męża, chirurga zajmującego się przeszczepami.



W Szczecinie
urzekły ją duże
przestrzenie, silny
wiatr wywiewający
konflikty. Tutaj na
kursie językowym
poznała męża,
transplantologa.
Wydawała mu się
krucha i niepewna
siebie, na próbie
w teatrze zobaczył,
ile w niej energii,
pasji, pomysłów.

Na zdjęciu: z mężem Markiem
i synem Jaśkiem na tle portu.



Jej przedstawienia są doszlifowane w każdym szczególe. Podczas prób osobiście demonstruje sceniczne sytuacje. Aktorów zagrzewa aprobatą.

Tytułowa bohaterka *Balladyny*, którą Anna Augustynowicz reżyserowała dwa lata temu, nosi różową kurtkę i dżinsowe spodnie. W końcu ginie pod ostrzałem fleszy z rąk paparazzich, niczym biedna księżna Diana. – Media odzierają z prywatności, niszczą i komplikują życie – mówi Anna, patrząc z niechęcią na włączony dyktafon.

Z okien jej gabinetu widać Wały Chrobrego i Port Szczeciński w białej mgle. Nieco sfatygowane antyki mogą pochodzić z teatralnej rekwizytorni. Przed nią kawa i rogalik kupiony w drodze do teatru. Znów nie zdążyła zjeść śniadania. Jasek strasznie dziś dokazywał. Ledwie wyrwała się z domu. Czy jednak musimy rozmawiać o jej synku, rodzinie, o tym, co gotuje i co wkłada na bankiet premierowy? – opędza się od pytań. Gdy przegląda kobiece pisma, ma wrażenie, że bohaterki artykułów są zbyt wykreowane, aby mogły być do końca prawdziwe. Zapewnia, że niewiele ma wspólnego ze światem, w którym tak ważna jest metka na marynarce, gdzie nakrycie stołu przypomina dzieło sztuki, a odcień tapet idealnie pasuje do obić foteli. Gdyby nie mąż, który lubi ją widzieć od czasu do czasu w eleganckiej sukience i na obcasach, miałaby w szafie siedem jednakowych podkoszulków na każdy dzień tygodnia i siedem jednakowych swetrów i spodni. Idetyczna sprawa z gotowaniem. Nie robi z tego misterium. Wystarczy jej w zupełności pół godziny, by przygotować rodzinie obiad. Nie ma kominka ani marmurowej wanny, nie gra w tenisa, jej córki nie chodzą do elitarnych szkół. Nie teatralizuje w ten sposób swojego życia. Rzeczywistość kreuje na scenie i to jej zupełnie wystarczy.

Filigranowa, krótko obcięte włosy, na rękę ogromny cyferblat zegarka. Czerń golfu podkreśla biel i delikatność twarzy. Sprawia wrażenie małej dziewczynki, która zabłądziła w ponurych salach szczecińskiego teatru. Z tym wyglądem kontrastuje jednak silny, zdecydowany głos, a dołek w brodzie znamienuje charakter. Na pierwszy rzut oka trudno ją zaszukadkować, wymyka się schematom. Marek Braun, scenograf, z którym studiowała i z którym stale współpracuje, tak zapamiętał ich pierwsze spotkanie w korytarzu krakowskiej PWST: – Dźwigała ogromną halabardę potrzebną do jakiejś sceny. Choć rekwizyt wydawał się przerastać jej wątłe siły, coś mnie powstrzymało, by pomóc. Miała w oczach taką determinację, jakby od prze-

niesienia tej halabardy Bóg wie ile zależało. Ona nie chce, by ją wyręczać, przemknęło mi przez myśl. Anna oddaje Markowi Braunowi swój drugi rogalik, bo musi być głodny, jechał do Szczecina całą noc. – Rozgość się, zaraz będzie kawa, a szczegóły scenografii omówimy, gdy obejrzysz próbę. Zagląda do gabinetu dyrektora naczelnego teatru Zenon Butkiewicz, wpadają aktorzy i jacyś ludzie obsługujący scenę. Nikt nie anonuje się przez sekretarkę, tylko nieliczni pukają. Julia Wierzchowska, sekretarz literacki, podrzuca plik scenariuszy nadesłanych w ubiegłym tygodniu. W domu Anna przejrzy wszystkie. Nigdy nie wiadomo, czy w którejś przesyłce nie trafi się perła polskiej dramaturgii. Dzwoni mąż. Dziś wyjdzie wcześniej z kliniki. Mogliby po południu razem podskoczyć do banku. – Po południu mamy gości z Rady Miasta w sprawie dofinansowania teatru. Ważne spotkanie. Odłożymy bank na jutro – prosi męża. – Wciąż nie wiem, co włożymy na nogi Joasi Matuszczak w *Miłości na Krymie* – kłopotczy się kostiumolog Wanda Kowalska. Anna marszczy czoło i po chwili pstryka palcami: – Mam! Czerwone oficerki! Dla każdego z interesantów ma ciepłe słowo, sypie żartami. Dobrze myśli o ludziach, każdy człowiek ma u niej duży kredyt zaufania. – Spieramy się tylko na próbach, ale są to konflikty twórcze, które na dobre wychodzą przedstawieniom.

Nie przypuszczała, że zamieszka w Szczecinie. – Było to dla mnie nieznanne, wakacyjne miasto. Zatrzymałam się tu kiedyś, wracając znad morza. Pamiętam, że urzekło mnie niebo. Było takie czyste, jasne, błękitne, inne niż w Krakowie, gdzie wówczas mieszkałam. Druż raz zjawiała się w Szczecinie jako obiecująca pani reżyser. Wystawiła w Teatrze Współczesnym *Kłątwe* Wyspiańskiego, jedno z jej pierwszych przedstawień. Gdy zaraz potem wzięła na warsztat kolejną sztukę, zaproponowano jej stanowisko dyrektora artystycznego. – Byłam zakłopotana i zdziwiona. Cemu ja? Świeżo po szkole, z niewielkim dorobkiem. Miałam ochotę wziąć nogi za pas, ale nie pozwolili na to aktorzy. Żyliśmy się, przygotowując *Kłątwe*. Świetny zespół, utalentowani ludzie, chętni podjąć każde artystyczne ryzyko. Jakoś mnie w końcu przekonali, że nie mogę zmarnować życiowej szansy. Twierdzi, że Szczecin jest dobrym miejscem, w sam raz na jej twórczy temperament. Są tu duże przestrzenie, a silne wiatry wywiewają stąd wszelkie konflikty i uprzedzenia. Ma inteligentną publiczność, która czuje teatr

DYREKTOR NACZELNY: KAZIMIEŻ KIZANOWSKI
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: ANNA AUGUSTYNOWICZ



TEATR WSPÓŁCZESNY W SZCZECINIE
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: ANNA AUGUSTYNOWICZ
STIG LARSSON
NACZELNY

D: MARIUSZ KALINOWSKI
MAGDALENA MYŚKIEWICZ, BEATA ZYGA
Z FORYSIAK, TADEUSZ Z PAŚNIK.
IA: ANNA AUGUSTYNOWICZ
RAFIA: WALDEMAR ZAWODZIŃSKI
JACEK OSTASZEWSKI
IERA POLSKA: CZERWIEC 1993



TEATR W
W SZCZECINIE

PABLO PICASSO
CZTERY MAŁE

(LES QUATRE PETITES FILLES)
przekład: Wiesław Górski

obsada: Anna Januszewska, Iwona
Beata Zygarlicka

reżyseria: Wiesław Górski
scenografia: Carey Clark
muzyka: Tomasz Gwinciński
reżyseria światła: Krzysztof Sen
prapremiera: kwiecień 2000

Rezerwacja i sprzedaż biletów oraz informacje: Biuro Obsługi
tel. 489 23 23. Kasa teatru przy Wałach Chrobrego 3, czynna

i kupuje najbardziej kontrowersyjne propozycje sceniczne. Grają codziennie, na ogół przy pełnej sali. Młodzież zostaje po spektaklach, dyskutuje. Niedawno na przedpołudniowym spektaklu zobaczyła znajomych licealistów. – Nie musicie być w szkole? – zaniepokoiła się. Przyznali się, że już nie pierwszy raz przychodzą do jej teatru na wagary.

Anna zmienia golf na obszerniejszy sweter, który nie będzie krępował ruchów podczas próby. Zabiera aktorów z bufetu. Krętymi przejściami, przez głębokie, zastawione rekwizytami kulisy idziemy gęsiego na widownię dużej sceny. Aktorzy rozsypują się po scenie, Anna wyklada na swój pulpit połamaną tabliczkę czekolady. Przy jej nogach stoi wiadro strażackie z czerwonym napisem „popielniczka reżysera”. Mimo starań nie zerwała jeszcze z nałogiem. Gdy jest skupiona tak jak teraz, pali więcej. Podczas prób zapomina o reszcie świata. Jej ruchy stają się niecierpli-

Z prowincjonalnej Dębicy wyruszyła na podbój polskiego teatru. Była jedyną kobietą na pierwszym roku reżyserii. W Szczecinie robi teatr moralnej pasji.

we, twarz napięta. – Stop! Stop! Stop! – zatrzymuje akcję i wielkimi susami biegnie w kierunku sceny. Przekazuje aktorom swoje uwagi, gestykuluje. Niecierpliwość, wynikająca z fascynacji tym, co robi. Perfekcjonizm, dzięki któremu jej przedstawienia są doszlifowane w każdym szczególe. Jej wskazówki są dowcipne i obrazowe. Aktorów zagrzewa do gry aprobatą: – Dobrze! Znakomicie! Zwraca się do nich pieszczotliwie: Ewuniu, Grzesiu, Wiesiu, Beatko, Jolusiu. Między nią i nimi czuje się mocną więź. – W dramatach, które reżyseruję, jest całe morze napięć, bólu, brudu. Aby na scenie zmierzyć się z tym wszyst-

kim, wokół musi być bezpiecznie i czysto – mówi. – Dramat powinien dziać się na scenie, a nie w kulisach czy w garderobach. Zanim odkryła teatr, uwiodły ją słowa wierszy. To dzięki mamie, która znała na pamięć mnóstwo utworów Mickiewicza, Słowackiego, Konopnickiej. – Gdy byłam niegrzeczna, mama, zamiast przyłożyć mi klapsa, recytowała *Ojca zadżumionych*. Były tam fragmenty, przy których szlochałam. – Przestań, już nie chcę słuchać! – prosiłam. Lubiała być przeziębiona. Leżała w łóżku dziadków pod wielką pierzyną i czytała cały dzień *Anię z Zielonego Wzgórza* lub *Tajemniczy ogród*. ▶

◁ W porównaniu z książkami jej własne życie wydawało się okropnie nudne. Babcia podsuwała jej szmatki i igłę, żeby szyła dla lalek jak inne dziewczynki. Nie lubiła szyć, nie lubiła lalek. Wołała przyglądać się, jak ojciec remontuje kupione okazynie stare samochody. Później woził ją i jej rodzeństwo po Dębicy szpanerskim chevroletem z lat 50. Jest do niego podobna. Potrzebuje pasji, czegoś, co by nią bez reszty zawładnęło.

Dębica. Ile trzeba mieć odwagi, by z prowincjonalnego miasta wyruszyć na podbój polskiej sceny? – Prowincja to obszar mentalny – prostuje Anna. – Można przecież robić fantastyczny teatr gdzieś wysoko w górach, a można karleć duchowo i intelektualnie w Paryżu lub w Nowym Jorku. Nie jest ważna geografia, ale ludzie, których spotykamy. Miała do nich szczęście. Na przykład jej wspaiała polonistka z liceum Halina Niziołek, która przygotowywała ją do olimpiad polonistycznych. Albo matematyczka Krystyna Jargos, która pożyczała jej Kępińskiego i Hessego. Urszula Rojkówna uczyła ją w domu interpretacji wierszy i wysyłała na konkursy recytatorskie. Na rzeszowskim konkursie o Złoty Lemiesz pojawił się Jalu Kurek. Zobaczył na próbie śmieszna dziewczynkę w obszernej lejbie, która recytowała jego wiersz. Wyglądała jak ludzik z rysunków Butenki: sukienka jak namiot, mała główka, cienkie nóżki w chłopięcych półbutach. Napadły na nią instruktorki teatralne, że źle ubrała się na scenę. – Ona celowo zrobiła się na brzydkie kaczątko, bo to pasuje do mojego wiersza – zaczął ją bronić. – Polubił mnie. Przysyłał mi listy i swoje książki. Odwiedziłam go kiedyś w Krakowie. Czułam się wyróżniona tą przyjaźnią. W liceum założyła z kolegami teatr. Ubrani we flanelowe koszule deklamowali Wojczka, Bursę, Szymborską, palili na scenie gazety i darli banknoty. – Wydawało nam się, że jesteśmy bardzo awangardowi. Na spektakle z prawdziwego zdarzenia jeździła do Krakowa. Z *Dziadów* Swinarskiego wyszła niemal w transie. Padał wielkimi płatami śnieg. Przed witryną księgarni zobaczyła kątem oka, że obok niej stoi Anna Dymna, którą widziała na scenie. Tak jakby spektakl nie mógł się skończyć, wciąż trwał w realnym świecie. Gdy przed maturą powiedziała ojcu, że wybiera się na psychologię, odbył z nią poważną rozmowę: – Przecież twoje życie, Aniu, to teatr! Naprawdę chcesz z niego zrezygnować?! I tak, dzięki ojcu, znalazła się na wydziale teatrologii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Koleżanka ze studiów, Izabela Künstler, tak ją pamięta z tamtych czasów: – Na pierwszym roku Ania wydała się za mąż. Na drugim roku chodziła w ciąży, na trzecim w kolejnej. Jadła krede, twierdząc, że kobiety ciężarne potrzebują wapna. Urywałyśmy się z wojska: – Bo Ani zrobiło się słabo, może zacząć rodzić, odwiozę ją do domu – zwałniałam nas obie u majora. Wpadałam do jej akademika. Ania wkuwa głośno gramatykę, tak modulując głos, jakby opowiadała córkom bajkę. Pchała rano wózek do żłobka, biegła na zajęcia i to do niej należał zawsze pierwszy głos w dyskusji. Załatwiała urlopy dziekańskie, z których nie korzystała, bo zgłaszała się na egzaminy. Małżeństwo, pieluchy, żłobek, świetne stopnie. Dotąd nie wiem, jak ona to wszystko organizowała. Dziewczynki, Alicja i Łucja, które dreptały po krakowskich Plantach i karmiły na Rynku gołębie, wyrosły na dorodne strzeliste dwudziestolatki. Jasna i ciemna. Jedna pełna wigoru, druga refleksyjna. W ubiegłym roku zrobili przerwę w studiach biznesowych i wyjechały na Florydę, gdzie uczą się języka, pracują, jeżdżą na rowerach i poznają ludzi. Anna jest pewna, że poradzą sobie w życiu. – Nauczyłam je otwartości, a przede wszystkim tego, by umieć słyszeć siebie. Odkąd się urodziły, były w jej życiu najważniejsze. Wymyślała dla nich bajki, zaliczyły kilometry spacerów. Gdy podrosły, czytały scenariusze, które przynosiła z teatru. Jej *Iwonę, księżniczkę Burgunda* obejrzały w kaliskim teatrze dwanaście razy.

Wieczorem odbieram w kasie zaproszenie na *Moralność pani Dulskiej*. Anna przeniosła swoich Dulskich z XIX-wiecznej kamienicy do bloku ze szkła i metalu. Świetne przedstawienie, z tempem, uszczypliwe, miejscami okrutne. Anna dzwoni do hotelu. Pyta, czy podobał mi się spektakl. Choć recenzenci komplementowali jej Dulską na wielu łamach, Anna ma dystans do tych pochwał i nie czuje się do końca spełniona w swoich przedstawieniach. Każda premiera to dla niej egzamin. Jak skazaniec na wyrok czeka na werdykt publiczności. Premierowe przedstawienie ogląda z kabiny akustyka. – Nie jestem w stanie wysiedzieć na widowni, mam większą treść niż aktorzy. Parę razy przyszła jej do głowy absurdalna myśl: to moja sztuka i moich aktorów, jaka szkoda, że pojutrze zjawia się w teatrze ci, którzy zapłacili za bilety. Ale rano, po bankiecie premierowym, już myśli o kolejnej realizacji. – Gdy nie mam w perspektywie prób, męczę się, nie wiem, co ze sobą zrobić. Teatr niepokoi nawet jej sny. Niedawno pra-

cowała intensywnie na planie Teatru Telewizji. – W nocy miałam dziwne przeżycie. Filmowałam swój sen. Jadę kamerą bliżej osi, dalej osi, a sen dzieje się beze mnie, w męczącym oddaleniu. Nie potrafię ani w nim uczestniczyć, ani się z niego obudzić.

Czy bez tych stresów i napięć byłaby szczęśliwsza? Po teatrologii pracowała w sekretariacie Teatru im. Słowackiego. Później był Kalisz, dział literacki w Teatrze im. Bogusławskiego. Żadna z tych posad nie przyniosła satysfakcji. – Nie cierpię biurka. Kuśił mnie żywy, dziejący się teatr, gdzie tyle niespodzianek i wyzwani dla wyobraźni. Biurko zamieniła na Wydział Reżyserii Dramatu na krakowskiej PWST. Elitarna, męska szkoła. Na pierwszym roku była jedyną kobietą na wydziale. Chyba nie traktowano jej do końca serio. – O, przepraszam, pani Aniu! – zwracał się do niej prof. Goliński po każdym dosadniejszym przerywniku. Ostrzygła włosy na zapalkę, włożyła duże męskie buty i grube skarpety. Nowy image niczego jednak nie załatwił. Do dziś pamięta kpinki kolegów, gdy obejrzeliby jej etiudę sceniczną przygotowaną na egzamin. – Zrobiło mi się przykro. To było bardzo osobiste, moje, włożyłam w tę pracę serce. Egzaminator, Krystian Lupa, zrozumiał mnie. Nauczył mnie wtedy ważnej rzeczy: nadmierne emocje przeszkadzają w reżyserowaniu. Radził zachować do nich dystans.

Życie wewnętrzne Marka Koterskiego, debiutanckie przedstawienie, realizowała w Kaliszu. Już wtedy była bardziej pewna siebie i swoich artystycznych racji. – Zredukowałam scenografię do minimum: dwa krzesła, stół i w tej przestrzeni dwoje ludzi zdanych na siebie w M-2. Dyrektor Maciej Grzybowski poprosił mnie do gabinetu. – Aniu, ja naprawdę dobrze ci życzę, ale twoje przedstawienie się nie obroni! Wstaw na scenę więcej mebli, jakieś kwiaty w doniczkach, na stole szklanki. Na szczęście zdołała go przekonać, że nadmiar rekwizytów tylko przesłoni istotę dramatu bohaterów. *Życie wewnętrzne* zostało wyróżnione. Czy mogła marzyć o lepszym debiucie? Tak zaczęła podbijać publiczność i zdobywać kolejne nagrody za reżyserię. Jej teatr jest łatwo rozpoznawalny. Anna Augustynowicz nie podlizuje się widowni. Nie boi się szoku, skandalu, języka ryszotku. Robi przedstawienia odważne, demaskatorskie, pełne moralnej pasji. Mówi ze sceny o kompleksach seksualnych (*Bez czułości* Clair McIntyre),

o niemożności porozumienia się (*Siostry, bracia* Stiga Larssona), o morderstwach dokonywanych przez nastolatków (*Młoda śmierć* Grzegorza Nawrockiego), o łamaniu stereotypów i rzucaniu masek (*Moja wątroba jest bez sensu* Wernera Schwaba), o ofiarach kazirodztwa (*Agnes* Catherine Anne), o pułapkach świata kreowanego przez media (*Balladyna* Juliusza Słowackiego). Swoje przedstawienia, również klasykę dramatu, realizuje w duchu nowoczesnej estetyki. Odwołuje się do popkultury, telewizyjnych show, wprowadza muzykę techno i dyskotekowe stroje. Jednak to treść jest w jej twórczości najważniejsza. – Teatr ma objaśniać rzeczywistość, pobudzać do myślenia, poruszać, pomagać żyć. Muszę mieć powód do rozmowy z publicznością – mówi.

Po południu restauracja hotelu Arkona jest prawie pusta. Mąż Anny, Marek Kamiński, zamawia nam kopiaste talerze sałatki z kolorowych warzyw. Dobrze ubrany mężczyzna o jasnej, skandynawskiej urodzie, lekarz, zastępca kierownika Kliniki Chirurgii Ogólnej i Transplantacyjnej Szpitala Akademickiego. Różni się. W niej wyczuwa się podskórne napięcie i tłumione emocje. Jego oczy – niebieskie, dobre – są oazą spokoju. W towarzystwie męża Anna natychmiast zapomina o włączonym dyktafonie. Tak jakby Marek rozciągał nad nią ochronny parasol, pod którym nie może jej spotkać nic złego ze strony wścibskiej dziennikarki. – Po co właściwie twórcze, zaradne kobiety sukcesu wydają się za męża? – pytam. – W życiu codziennym nie jestem tak obrotowa jak w teatrze – przyznaje się Anna. – Bez Marka nie załatwię najprostszej sprawy, mam kłopoty z podejmowaniem decyzji i boli mnie głowa, gdy mam wymyślić, gdzie pojedziemy na wakacje. Nawet w sklepach niespecjalnie sobie radzę. To mąż wybiera mi płaszcze, buty, kupuje perfumy. Bardzo uprościł moje życie. Jest pełna podziwu dla jego pracy. – Ja kreuję na scenie fikcję, Marek obcuje na co dzień z rzeczywistymi ludzkimi dramatami. Moja praca jest w istocie świetną zabawą, w jego pracy stawką jest ludzkie życie. To, czym się mąż zajmuje, jest dla mnie tajemnicą, przed którą czuję lęk.

Jej jako lekarz nie przydał się nigdy. Mimo stresów, papierosów nie odczuwa poważniejszych dolegliwości. Z tego też powodu miała raczej małe szanse, by go w ogóle spotkać. Połączył ich angielski. Siedem lat temu zapisali się oboje na ten sam wakacyjny kurs języ-



Cieszę się późne, dojrzałe macierzyństwo.
Mieszkanie, które jest spokojną wyspą.
Mąż, który wybiera jej buty i perfumy.
I nawet trema przed każdą premierą.

kowy. – Sprawiała wrażenie kruchej, niezbyt pewnej siebie – przypomina Marek. – Byłem zaskoczony, gdy dowiedziałem się, że jest reżyserem i dyrektorem teatru. Dopiero gdy zaprosiła mnie na swoją próbę, zorientowałem się, ile w niej energii, pasji, pomysłów. Po premierze *Moralności pani Dulskiej* spytała go: – No i jak? Czy jestem taka jak ona? – Nie aż taka! – roześmiał się. Oczywiście żartował. – Ania w domu jest ciepła, delikatna, bardzo opiekuńcza. Zrzuca w progu kurtkę i natychmiast uchodzą z niej wszystkie teatralne emocje. Stworzyła mi naprawdę wspaniały dom. Gdy na świat zaczął dobijać się Jasiek, wymienili się obrączkami. Nie obyło się bez konsultacji z Alicją i Łucją. Bardzo im się podobało, że Anna tuż przed czterdziestką chce raz jeszcze doświadczyć macierzyństwa. Jasiek skończył już dwa lata. Płowowłosy, zdrowy jak rydz. Anna tarza się z nim po dywanie, wozi go do parku wodnego w Gryfinie, gdzie chłopczyk piszczy zachwycony zjeżdżalnią i basenem z falami. Odkryła, że późne macierzyństwo jest bardziej dojrzałe. Już nie myśli „jakoś tam będzie”, nie ogląda się za siebie,

czy Jasiek za nią nadąży. Stara się zrównać swoje kroki z jego dreptaniem. Jest skupiona na dziecku, cierpliwa i ma potężne wyrzuty sumienia, gdy musi zostawić go z nianią. Zaszyli się w zielonej, przedwojennej dzielnicy Szczecina. Stary blok z cegły, parter, skrzyżujące podłogi, drewniane schody, przed oknami trawnik własnego ogródka. Oboje mają szarpiące zawody, więc to mieszkanie jest dla nich spokojną wyspą, do której przybijają. – Nawet pomilczeć razem przyjemnie, gdy jest to wspólne milczenie, a hałas Jasika może kość, jeśli się za nim tęskniło kilka godzin – mówi Anna. Chodzą do pubu na piwo. Mają swoją ulubioną francuską restaurację. Często urywają się z bankietów i organizują ciekawszy wieczór, chociażby w dyskotecce. Mało kto wie, że pani dyrektor Teatru Współczesnego lubi wyszaleć się na parkiecie i chętnie zapisalaby się na kurs rock and rolla sportowego. Ma jeszcze wiele tajemnic, których nie zdradzi dziennikarce. Jest w gruncie rzeczy zamknięta w sobie i powściągliwa. O tym, co naprawdę myśli i czuje, mówi jej niezwykle teatr. – ANNA JABŁOŃSKA